

Stado – 11 – Układ

18 listopada 2010

„Jeśli zginiesz – zasłużysz na niebo, jeśli zwyciężysz – zakosztujesz ziemskiego dobra. Powstań więc, o synu Kunti, i przystąp do walki”

Bhagawadgita II – 37

Pod koniec lipca, Harper, Susan i zaprzyjaźniona ekipa wyjazdowa w składzie ośmiu osób, byli już po wszystkich szczegółowych ustaleniach z kierownictwem Stacji. Czekali tylko na sygnał od Warrena. Mieli przygotowane precyzyjne konspekty scenograficzne, wejściowe, kadrowe, itp. Scenariusz programu rozpisano wariantowo na każdą możliwą niespodziankę, sekunda po sekundzie. Dobra, fachowa robota.

Dwudziestego szóstego, w eter poszła pierwsza zapowiedź, połączona z regulaminowym komunikatem konkursowym, regulującym formalnie rodzaj, sposoby kadrowania, wymogi czasowe i jakościowe, mających napływać od tej chwili do Sieci, taśm video, zawierających zdjęcia, przypadkowo przez widzów obserwowanych, nieznanych obiektów latających, czyli UFO. Ustalono wysokie nagrody za najlepsze ujęcia oraz wielokrotną emisję tych zdjęć. Natychmiast też w całym kraju skokowo wzrosła sprzedaż kamer.

Ponieważ był to okres urlopów i wzmożonej migracji turystycznej, konkurs nie ograniczał się wcale do terenu kraju. Liczyła się tylko jakość, rzetelność i wiarygodność materiału. Specjalna grupa, głównie wojskowych rzeczoznawców, rezydowała dyskretnie na terenie CMM oczekując na kasety.

Konkurs obmyślił Caster, który w ten sposób miał zamiar zaangażować tysiące dysponujących czasem ludzi do prowadzenia całodobowych obserwacji nieba i wiarygodnego alarmowania o podejrzanych obiektach. Rodzaj masowego wartowania i sygnalizowania obecności enigmatycznego, tak nieuchwytnego

poznawczo przeciwnika.

Tymczasem kierownictwo Stacji przygotowywało się do wielce ryzykownego przedsięwzięcia. Zdecydowano się wspólnie na inicjowany, możliwie kontrolowany i dokumentowany kontakt z prawdopodobnie jedynym, obecnym stale w okolicy Strażnikiem, pozostawionym przez Obcych dozorcą czy też przedstawicielem właścicieli Stada. Według Długowiecznych nie była to specjalnie zaszczytna funkcja – raczej rodzaj dysydenckiego zesłania za jakieś tam, drobne przewinienia wobec własnej społeczności. W każdym razie Strażnik miał za zadanie bezzwłocznie zawiadamiać dysponentów Hodowli, w razie sytuacji nieprzewidzianych. Natomiast do czasu przybycia pomocy musiał radzić sobie jakoś z wypadkami samodzielnie.

Długowieczni spodziewali się kilku ewidentnych korzyści z takiego kontaktu. Przede wszystkim mieli nadzieję możliwie dokładnie ustalić termin przybycia następnej, rozrywkowej grupy. Po wtóre, korzystając z pewnego rodzaju zażyłości z kolejnymi, nieraz tymi samymi Strażnikami, chcieli wydobyć od niego kilka istotnych z wojskowego, czy ogólniej mówiąc, wyzwolenczego punktu widzenia, informacji. Po trzecie wreszcie, wspólny, udokumentowany kontakt służyłby lepszemu scementowaniu kierownictwa Stacji, co ostatnio zaczynało mieć znaczenie.

Byli już jako tako przygotowani na kilka nieprzewidzianych sytuacji. Kończyły się właśnie ostatnie oblatywania trzech zgrubnych, uzbrojonych wstępnie prototypów pojazdów, w kilku odludnych miejscach kraju uruchomiono próbne, zaporowe strefy czasowe. Ciekawa rzecz. Ptaki, owady i drobne zwierzątka które przypadkiem znalazły się wewnątrz strefy w momencie zatraskiwania, nie mogły się z niej oczywiście wydostać, jednak poruszały się wewnątrz, żyły, budowały gniazda i tak dalej. Gorzej się jednak rozmnażały, to znaczy jeżeli normalna żaba jest w stanie wydać na świat kilka tysięcy jajeczek w postaci skrzeku z którego wykluwają się następnie kijanki, to w strefie, składała tych jajeczek maksimum dwieście. Wyraźny

regres rozrodczy. Ale na razie nikt się tym nie przejmował, prowadzono badania, a na wnioski przyjdzie niebawem czas.

Warren nauczył Ronsona, Castera i Koena, stosowania blokady mentalnej przed swobodnym, telepatycznym sczytywaniem przez Obcych bieżących uczuć i myśli, a także wszelkich zasobów pamięciowych. Długowieczni posiadali taką wyuczoną, dość prostą umiejętność, a jako sprawdzeni „w boju”, zaufani namiestnicy Obcych, nie musieli się przed nimi tłumaczyć z jej używania. W efekcie, wystąpiło u Obcych, zwłaszcza u osamotnionych Strażników, coś w rodzaju przyzwyczajenia do powierzchownego tylko, nieselektywnego kontaktu telepatycznego, z narastającą tendencją kontaktów, dialogów werbalnych. Nie znaczy to jednak, że nie mogli w każdej chwili skorzystać ze swoich ponurych umiejętności, i to był pewien problem. Długowieczni również posiadali zdolność rozmów telepatycznych, jednak ich możliwości penetracyjne były bardzo ograniczone.

Tak więc nadszedł wreszcie dzień ósmego sierpnia, sam środek północnoamerykańskiego lata, dzień zaplanowany wspólnie na ryzykowny mimo wszystko kontakt ze Strażnikiem. O trzeciej rano odlecieli wszyscy śmigłowcem do najbliższej bazy wojskowej w Fort Randal, posiadającej porządne lotnisko, gdzie przesiedli się pojedynczo w pięć myśliwców naddźwiękowych typu F-20. Każdy z ważnych pasażerów miał więc własnego pilota w randze przynajmniej majora i własny, najnowszej konstrukcji samolot. Po efektownym, zbiorowym starcie, uformował się klucz bojowy który bez żadnych kłopotów, po trzech godzinach lotu, wylądował w kolejnej bazie wojskowej nieopodal Cedar City w Kalifornii. Ani Ronson, Caster, ani Koen, nie podróżowali dotąd takim sprzętem. Zapierało im dech w piersiach – i w związku z prędkością lotu i w związku ze stratosferyczną wysokością. Jednak nie ma to jak osobiste przeżycie.

Pierwszy raz widzieli na własne oczy wyraźną z takiej wysokości krzywiznę pięknej, otulonej w białą watę obłoków Ziemi, pierwszy raz doznali bezpośrednio uczucia potęgi i

kuszającej tajemnicy Przestrzeni. Patrząc w ciemnogrnatowe niebo nad nimi z tysiącami, co jaśniejszych gwiazd, doznawali nieokreślonej wzniosłości, uniesienia, tłumionych tylko przez huczące z tyłu, potężne silniki maszyn. Tym bardziej zapragnęli pozbyć się uciążliwego, upokarzającego nadzoru.

Po wylądowaniu, ponownie załadowali się do wielkiego śmigłowca transportowego razem z oczekującą już, obładowaną niemożebnie ekipą Harpera, nim samym oraz nie wiedzieć po co, Susan. Tak na marginesie to ta sprawa była dość podejrzana. Zwrócił na to uwagę Caster, przy okazji przygotowywania owego konkursu telewizyjnego.

Ronson, współpracując w tej kwestii z CMM, jakby odmłodził. Najwyraźniej odkrył w sobie powołanie publicystyczne, czy też raczej organizacyjno-telewizyjne, mówiąc eufemistycznie. Coraz chętniej wyjeżdżał do Bostonu gdzie znajdowało się centrum CMM, coraz częściej i z coraz większym zapałem mówił o problemach realizacyjnych, o scenografii, ujęciach, kadrowaniu. Caster obserwował to wszystko z niepokojem, martwiąc się o przyjaciela, znakomitego w końcu fizyka a nie jakiegoś stukniętego showmana czy nawiedzonego publicystę.

Jednak zrozumiałe zmartwienie Castera, przerodziło się pewnego dnia w ogromną ulgę, gdy któregoś ranka zadzwonił do niego Harper, poszukujący od dwóch dni swojej sekretarki. Sądził, że wykonuje bez jego wiedzy jakieś pilne zlecenie Zespołu i nastawiony bojowo, chciał się o tym upewnić. W trakcie rozmowy okazało się, że Ronson, mający przygotowywać program, też się gdzieś ulotnił. Wszystko stało się jasne. W każdym razie, jaśniejsze.

Po zakończeniu telewizyjnych, tygodniowych przygotowań, Harvey wrócił z Bostonu jak szczygiełek. Rozwodził się obficie, a jakże, nad sprawnością organizacyjną CMM, nad niecodziennymi, interesującymi problemami z jakimi się zetknął, nad poziomem i inteligencją niektórych zwłaszcza pracowników. Caster słuchał tego wszystkiego z uśmiechem i niespodziewanie zaproponował mu

kolejną, cichą kolacyjkę z dwiema sympatycznymi, przychylnymi laborantkami, pracownicami Stacji. Wyglądało to mniej więcej tak:

– Harvey, ostatnio chyba się przepracowujesz. Co byś powiedział na następną uroczą pogawędkę z pannami Penny i Lindą? Znasz je przecież bardzo dobrze.

– No nie wiem Sid. Rzeczywiście jestem zmęczony, poza tym jest tyle roboty, sam wiesz.

– Co ty mówisz? Jedna kolacyjka jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Nie, chyba się nie skuszę.

– Masz jakieś zobowiązania... Bostońskie? – wystrzelił Caster.

Harvey zaczerwienił się jak młody palant i odetchnąwszy głęboko, powiedział:

– E..., mam... nadzieję mieć.

– Nie mów?

– No... tak, Sid. Tak jakoś wyszło.

– Znam ją?

– Jasne. To...

– Sekretarka grubego Harpera? – dokończył szybko Caster.

– Skąd wiesz u diabła?

Caster powiedział mu o telefonie z Bostonu i o wściekłości Harpera, rozsierzonego tym bardziej, że spodziewane zyski z jednoprocentowego udziału w sprzedaży super wynalazków stawały się coraz mniej realne. Do tego jeszcze tak banalne kłopoty z sekretarką. Ronsona oczywiście nic nie obchodziły zmartwienia Harpera, jednak zgodził się, że nie ma co robić z tego, być

może przelotnego związku, jakiejś ekstra tajemnicy. W końcu żyją w wolnym kraju i są dorośli.

I tak oto jeszcze jeden, niezależny, jakże teoretycznie zatwardziały wolny strzelec, został usidlony, przyparty do muru damskim biustem. Jedyna nadzieja, że nie na zawsze.

* * *

Dokooptowali też małomówni ludzie Hartnella ze swoimi tajemniczymi bagażami. Tym sposobem, po w sumie pięciu godzinach podróży, znaleźli się wszyscy u podnóża rozległego płaskowyżu Walhalla Plateau, górującego nad przepięknym kanionem Bright Angel Canyon, w dorzeczu rzeki, a raczej o tej porze roku, rzeczki Colorado. W sumie trzydzieści osób.

Miejsce zostało wybrane przez Warrena, który właśnie tutaj odbywał większość swoich ostatnich, związanych z jego działalnością na terenie Ameryki Północnej sesji z Obcymi. Teren absolutnie niedostępny bez pomocy śmigłowca lub innego sposobu przemieszczania się, raczej ponad, poszarpanymi, pionowymi ścianami zwietrzałej skały.

W maskujących załomach rozstawiono namioty i sprzęt. Moment kontaktu ustalono na środek następnej nocy, tak, że kierownictwo Stacji po raz pierwszy od wielu miesięcy miało spędzić noc poprzedzającą pod gołym niebem. Ekipa Harpera zajęła się przygotowaniami do realizacji swojej części scenariusza, pozostali, głównie ludzie Hartnella, w tym dwie, podobno super specjalistki w dziedzinie parapsychologii, robili swoje. Bez problemu rozłokowano małe, dublujące się emiterzy pola, tworząc gotową w każdej chwili do zadziałania strefę czasową, o promieniu trzech kilometrów.

Po kolejnym, nudnym już, omówieniu ze wszystkimi uczestnikami akcji istotnych szczegółów, po kolacji, Zespół, czyli pięciu członków kierownictwa Stacji siedziało na łagodnym pagórku, na skraju rozległej, skalnej platformy skalnej. Zanurzeni w stęzącej, namacalnej prawie ciszy wieczornej, w niewiarygodnie

bezwietrznym, jakby zamrożonym powietrzu, podziwiali cudowny zachód słońca. Wielka, purpurowa kula ognia, zatopiona już częściowo pod horyzontem, przepięknie oświećlała rozległy, niesamowity krajobraz. Wypiętrzające się wokół strome, poszarpane skały, rzucały długie, ostre cienie, pogłębiając wrażenie ogromnego, wymarłego miasta molocha, gdzie dominującą formą budowlaną są potężne, projektowane i sytuowane przez nieobliczalnych architektów wysokościowce.

Koen nie wytrzymał i wskazując z satysfakcją przed siebie powiedział:

– Czyż ten piękny w swym majestacie widok nie jest jeszcze jednym z dowodów na nieogarnioną wielkość i dobroć Boga?

– Na pewno, ale czy widziałeś kiedyś nadziemny wybuch jądrowy?
– cicho spytał Warren.

– Nie.

– No to żałuj. Nie ma nic piękniejszego, a to przecież osobiście, sztucznie przecież przez człowieka wywołana, sama Nemezis, w swojej właściwej, porażającej formie.

– Ty Steven, szefie, zawsze jesteś taki trzeźwy, racjonalny – w głosie Koena brzmiał niezmierzony, smutny wyrzut.

– No i mam chyba w tym przypadku rację. Piękne wcale nie znaczy dobre.

– Panowie. Nie zaczynajcie znowu – Ti przywołał niewczesnych dyskutantów do porządku. – Mamy jeszcze tyle rzeczy do omówienia i zrobienia.

– No właśnie – potwierdził Ronson. – Choćby to jak zamierzacie zwabić Strażnika?

Warren i Ti spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się. Harvey niezmiennie okazywał się workiem bez dna jeśli idzie o wszelką, nową dla niego wiedzę fizyczną czy choćby techniczną.

Caster był podobnie nienasyconym naukowcem, jednak bardziej obliczalnym i trochę mniej nachalnym – być może z powodu większej, naturalnej wrażliwości. No i miał za sobą śmierć żony.

– To jest akurat dość proste – zaczął Ti. – Powinniście słyszeć nie raz o bulwersujących przypadkach, gdy krzywdzone bądź zagrożone dziecko, wywołuje u przebywającej w innym miejscu matki coś w rodzaju telepatycznego skurczu. Matka natychmiast wie, że z dzieckiem dzieje się coś niedobrego. Niezależnie od odległości.

– Owszem. Takie rzeczy zdarzają się nagminnie.

– Więc właśnie. Okazuje się, że zjawisko jest tym wyraźniejsze, im ewolucyjnie niższy szczebel rozwojowy tej pary; dziecko – matka, nadajnik – odbiornik.

– Wy to macie pomysły – pokręcił głową Caster.

Przysłuchujący się tylko rozmowie Koen też był wyraźnie zde gustowany takimi porównaniami, nic jednak nie powiedział.

– Rzecz najłatwiej się odbywa – ciągnął dalej Ti nie przejmując się uwagami – w środowisku bakteryjnym, bądź roślinnym. Pod warunkiem oczywiście, że nadajnik i odbiornik są związani pierwotnymi, najbliższymi więzami pokrewieństwa. Przy czym możliwa jest także łączność dwukierunkowa – nadajnik może być odbiornikiem, i odwrotnie. Najdziwniejsze jednak jest to, że oboje, że tak powiem, nie muszą być strukturami żyjącymi w chwili transmisji. Zjawisko zachodzi również po fizjologicznej śmierci wszystkich, tworzących dowolny fragment organizmu, komórek, a więc prawdopodobnie również ponadczasowo. Cóż, jeszcze jedna konsekwencja prawd o których dyskutowaliśmy onegdaj. – spojrzał wymownie na Koena, ten jednak nie zareagował.

– Sprawdzaliście to? – zapytał poruszony Ronson.

– Częściowo. Wystarczy wziąć dwa dowolnie małe patyczki z tego samego drzewa i pobudzać je odpowiednim, dość prostym układem elektronicznym, by uzyskać wspaniały, nie wymagający praktycznie żadnej mocy, niewykrywalny w żaden sposób i działający na dowolną, nawet kosmiczną odległość, zestaw łącznościowy. W dodatku przekaz odbywa się momentalnie, z nadświatlną prędkością transmisji, co do pewnego stopnia nie powinno dziwić panów fizyków, gdyż nośnikiem nie są fale elektromagnetyczne ani inne, znane współczesnej nauce pola.

– Co w takim razie?

– Nie wiemy na pewno i możemy się tylko domyślać. Przypuszczam, że więcej na ten temat będą wiedziały nasze śliczne panie kapitanowe, specjalistki od parapsychologii stosowanej.

– Chyba niestosowanej. A jeszcze lepiej, niestosownej – zgryźliwie zauważył Ronson, zżymający się na obecność kobiet w armii i na poważne traktowanie parapsychologii, którą jednak uważał ciągle za coś w rodzaju niepożądanego w pewnych kręgach magii, średniowiecznego przeżytku.

– Ależ to rewelacja! – zachwycił się Caster.

– Jasne – pałeczkę przejął Warren. – Tyle tylko, że to nie jest nasz pomysł, jak się zresztą pewnie domyślacie, za wyjątkiem może Krisa, który patrzy teraz na mnie jak na potwora. To Obcy dostarczyli nam takie maleństwa na wypadek gwałtownej potrzeby ich obecności.

Z kieszeni przewiewnej koszuli wyjął maleńki, czarny owal o wymiarach jednocentówki i podał go Ronsonowi.

– Jak się to uruchamia? – zapytał ten po chwili uważnego przyglądania się miniaturce.

– Wystarczy lekko ścisnąć palcami. Ale nie bój się Harvey – Warren roześmiał się gdy wystraszony Ronson nadzwyczaj

ostrożnie oddawał mu miniaturowy nadajnik na wyciągniętej dłoni. – To jest urządzenie osobiste i reaguje tylko i wyłącznie na mój nacisk. Ti ma podobny.

Ti również pokazał swój nadajniczek i teraz wszyscy, głównie Caster, delektowali się nieludzką precyzją wykonania urządzonego.

– Tak więc jutro wieczorem, gdy wszystko już będzie gotowe, ścisnę palcami tę „monetę” i w tej samej chwili, nudzący się gdzieś w Przestrzeni Strażnik, odbierze mój sygnał, zlokalizuje go i niezwłocznie, jak sądzę, przybędzie tutaj.

– A propos – Ti zwrócił się do Ronsona. – Wybaczcie, że nie powiedziałem wam tego w ferworze przygotowań, ale w wolnej chwili przygotowałem specjalne łącze telewizyjne dla ekipy Harpera, działające na identycznej zasadzie. Chodzi o to, że pojazdy Obcych silnie zakłócają pracę normalnego sprzętu łącznościowego, a wtedy nasi przyjaciele filmowcy mieliby niejakie kłopoty ze zdalnym, niezależnym od nagrywania, przekazywaniem swoich relacji.

Ronson pokiwał tylko głową i nic nie powiedział. Ostatnio jego pozycja w Kierownictwie, w całym przedsięwzięciu, uległa obniżeniu na rzecz coraz bardziej dominującego Warrena. Rozumiał to co prawda, nie mógł być wiecznie głównym bohaterem, nieustającym herosem. Przyzwyczajony jednak, zwłaszcza przez łagodniejszego i ugodowego Castera z którym pracował już tyle lat, do bezdyskusyjnego przewodzenia, nie za bardzo mógł się z tym pogodzić. Nie znaczy to jednak wcale, że Warren lub ktoś inny z kierownictwa Stacji zaczynał dominować bezwzględnie i nieodwracalnie. Nie. W naturalny niejako sposób, również z powodu nawału pracy i pewnej specjalizacji poszczególnych person, niektóre cechy charakterologiczne czy drobne ambicje przywódcze, przestawały mieć znaczenie. Zżyli się i nawet do pewnego stopnia polubili, pracując razem od świtu do nocy, rozwiązując na bieżąco tysiące problemów technicznych, organizacyjnych czy zaopatrzeniowych. Powstał

zgrany, rozumiejący się Zespół, bez jakiegoś wyraźnego, przytłaczającego szefa. Tak to przynajmniej wyglądało.

W dalszym jednak ciągu aktualnym pozostawał problem pełni zaufania dwóch naukowców do Długowiecznych. Zwłaszcza Ronson miał tutaj szereg cichych obiekcji, głównie w stosunku do Warrena, najwyraźniej szczwanego lisa, niewyobrażalnie przecież zahartowanego w swoich tysiącletnich potyczkach i podchodach. Nie mógł za bardzo liczyć na Sida, nie mniej będzie musiał w końcu skłonić go do poważnej rozmowy na ten temat. Nie mógł sobie dotąd wybaczyć nieopatrznego, całkowitego otwarcia w stosunku do Zespołu, całościowego przekazania wiedzy i osiągnięć tych wszystkich parszywych lat pracy. Cóż, trzeba będzie coś z tym zrobić, i to możliwie szybko.

* * *

Zbliżała się druga w nocy. Warren i Ti, znając nieodpartą awersję Obcych do jawnych kontaktów w blasku dnia, mieli nadzieję na znacznie większe korzyści z rozmowy prowadzonej pod presją zbliżającego się świtu. Cała ekipa była od kilku godzin w pełnej gotowości. Nadszedł wreszcie właściwy moment. Warren dał pozostającym na swoich stanowiskach ludziom znak do uruchomienia przeróżnego sprzętu rejestrującego i wyjąwszy z kieszeni małe nadajniczki, wysłał sygnał. Niebezpieczna akcja została więc nieodwołalnie rozpoczęta. Obaj z Ti, przeszli wolno na środek pozostającej w oczekiwaniu strefy czasowej. Kilka kroków za nimi, zdenerwowani i drżący z podniecenia, podążali Ronson, Caster oraz Koen. Nad całą piątką, ponad całym tym obszarem, rozpościerało się bezkresne morze milionów gwiazd, iskrzących spokojnie w czystym, przyjemnie chłodnym teraz powietrzu wysoczyzny rozległego Grand Canyon National Park. Panowała przejmująca, pełna niespokojnego napięcia cisza.

Stali już tak od kilkunastu minut z zadartymi ku gwiazdom głowami, gdy wtem południowa część czarnego jak smoła nieba,

zaczęła powoli nabierać dziwnej, ciemnozielonej barwy. Światło, początkowo łagodne i pochodzące z nieokreślonego źródła, przybrało na intensywności i nieoczekiwanie, spoza sąsiedniego, ogromnego wzgórza, wypłynęła łagodnie kula intensywnego, zimno zielonego światła.

– Niedobrze – szepnął Ti. – To pojazd bojowy.

Kula, niczym dziwaczna podniebna lampa, zbliżała się bezgłośnie i potężniała, wreszcie zawisła prawie bezpośrednio nad piątką ludzi na znacznej wysokości. Podniecony Ronson ocenił jej średnicę na około dwunastu metrów. Zjadliwie zielone światło ściemniało i zaczęło zmieniać barwę na różową, a następnie ciemnoczerwoną. W tym momencie kula zgasła całkowicie i znikła, by pojawić się niespodziewanie ponownie, już z innej strony, na innej wysokości.

– Ostrożny, psiakrew – zaklął Warren.

Niesamowity, upiorny pojazd, wykonał jeszcze kilka zdumiewająco szybkich, zaskakujących manewrów, po czym opadł ostatecznie w pobliże stojącej grupy i zawisł na kilku metrach ponad ziemią. Wszyscy świadomi obserwatorzy zjawiska, cała drżąca z niekontrolowanego podniecenia, trzydziestoosobowa ekipa, poczuła nagle obezwładniający umysły ciężar, jakby znaleźli się zanurzeni po szyję w niezwykle gęstym, przeraźliwie zimnym bagnie. Zostali kompletnie unieruchomieni i jedyne co mogli robić to obserwować rozszerzonymi ze zdumienia oczyma rozwój wypadków.

Tymczasem kula zgasła prawie całkowicie i tylko w resztkach ciemnoczerwonej poświaty okazało się, że ma kształt płaskiego, okrągłego i lekko wypukłego od góry, niewątpliwie materialnego pojazdu o objętości dwóch dużych ciężarówek. Prawdziwe, klasyczne UFO. Nic się nie działo, a obezwładnieni ludzie bezradnie patrzyli na ledwie widoczne kształty odpychająco obcego, ponurego obiektu.

I wtedy, na tle ciemnej maszyny, jak się wydaje bez

pośrednictwa żadnych otworów drzwiowych, bez pomocy żadnego fizycznego przejścia, pojawiły się jakieś ciemniejsze od tła, dwie humanoidalne postaci o wzroście normalnego człowieka i w dziwny sposób spłynęły powoli na ziemię. Unieruchomieni w stężonym bagnie ludzie, odczuli, odczytali, skierowane do Warrena pytanie. Było to jak... podsłuchiwanie własnych myśli, pojawiających się nie wiadomo skąd. Niektórzy bezwiednie poruszali ustami.

– O co chodzi, War?

Tak więc ryzykowna gra rozpoczęła się na dobre i teraz wszystko zależało od niego.

– Chcę rozmawiać, Asmo.

– Po co wzięłeś ze sobą Ti oraz tych ludzi?

– Właśnie to jest problem Asmo.

– Mów.

– Nie mogę tak. Oni muszą w tym swobodnie uczestniczyć.

– To jest zabronione.

– Używanie naszych kobiet też jest zabronione, Asmo.

Właśnie to był najbardziej nieprzewidywalny moment. Warren oraz wszyscy pozostali, odczuli tężenie gęstego bagna, które nagle zamieniło się w wypełniający wszystkie komórki ciała beton. Przestali oddychać, jeszcze chwila a padną uduszeni wypełniającym cały wszechświat ciężarem. Ulokowany kilkaset metrów dalej Harper spocił się jak mysz, sądząc, że jeszcze moment a dostanie nie notowanego w medycynie zawału serca. Potworny ucisk przedłużał się. Warren poczuł nagle w głowie jakąś potężną, bezceremonialną łapę, która wywracała mu kolejno wszystkie obszary mózgu na nice. Prawie stracił świadomość, jednak ostatkiem sił wytrzymał i blokada nie została przełamana.

– Dobrze War. Zawsze byłeś podstępny.

I wtedy wszystko ustąpiło. Poczuli się jak nowonarodzeni, jak swobodne, zbiegłe przed chwilą z ohydnej, oślizłej klatki, ptaki. Mogli już być aktywnymi uczestnikami dialogu.

– Mówcie!

– Musimy przejść na przekaz dźwiękowy. Oni się boją.

– Pamiętaj, że ja niczego nie muszę. Ale niech ci będzie.

Warren był górą. Zdecydował się na szantaż, bo tylko tak mógł zapewnić sobie i innym bezpieczeństwo, oraz tylko pod taką presją mógł dyktować tym sukinsynom warunki. Taką miał przynajmniej nadzieję. Tymczasem, gdy Obcy cofnął swoją przygniatającą zaporę psychiczną, gdy cała, przerażona ekipa odzyskała swobodę działania, chłopcy Hartnella włączyli natychmiast emitory polowe i cały obszar, razem z upiornym pojazdem Asmo, znalazł się niezauważalnie wewnątrz zatraskowo uruchomionej, kulistej strefy czasowej. W ułamku sekundy stali się współwielznięmi sztucznie wytwarzanej czasoprzestrzeni. Zewnętrzna obsługa emitorów, ubezpieczająca całą akcję, mogła je wyłączyć tylko na zakodowany sygnał radiowy Warrena. Rozmowy mogły być teraz prowadzone na równych, partnerskich zasadach. Taką mieli nadzieję.

Obcy, Asmo, zbliżał się powoli ze swoim milczącym towarzyszem do pięcioosobowej grupy. W słabym, czerwonym świetle czuwającego pojazdu, można było przyjrzeć się przybyszom dokładniej. Jeden, to z wyglądu normalny, średniego wzrostu mężczyzna około trzydziestki o podłużnej, trochę jajowatej twarzy. Ubrany był jak najbardziej po ludzku w elegancki, szary w tym świetle garnitur, białą koszulę, nawet gustowny krawat, błyszczące, czarne buty. Gdyby nie okoliczności, mógłby uchodzić za przystojnego biznesmena. Duże, wyraziste oczy, nadawały jego twarzy jakiś melancholijny wyraz. Drugi, idący jakby z boku, był jakąś niesamowitą, ciemną postacią, ubraną w obcisły, jednoczęściowy strój, odsłaniający tylko

głowę... bez ust i nosa. W prawej, wyciągniętej przed siebie ręce, trzymał coś w rodzaju małego pudełka.

– To automat. Ochrona – szepnął Warren do Ronsona.

Dziwni przybysze zatrzymali się w odległości kilku kroków.

– Witaj Asmo – odezwał się cicho Ti.

– Witaj Ti – odpowiedział miękkim, wyrazistym barytonem Asmo.

Ronson pomyślał, że ktoś taki mógłby się podobać określonego rodzaju kobietom. Istny, świeżutki, gładziutki, hollywoodzki amant. W dodatku zabójczy, ulizany brunet. Wróg.

– Musimy rozmawiać.

– Wiem. Niech mówi War.

Warren tylko na to czekał. Nie musiał już nikomu przerywać, nie musiał specjalnie aranżować rozmowy. Mógł całkowicie liczyć na swoje doświadczenie i refleks. Sytuacja rozwinęła się bardzo pomyślnie. Zaczął więc szybko mówić.

– Sprawy zaczynają się komplikować. Ponieważ od kilkudziesięciu lat nauka i technika ziemskie idą ostro do przodu, a wy ostatnio stajecie się nad wyraz nieostrożni i dajecie się nawet masowo filmować, coraz częściej powstają liczne ruchy, organizacje, sekty, dążące za wszelką cenę do wyjaśnienia problemu UF0. Dodatkowo, niektórym z was, taki stan rzeczy wydaje się odpowiadać. A może i tobie, Asmo?

– Być może. Ale mów dalej.

– Tak więc powstało na świecie mnóstwo nawiedzonych, krzykliwych grup, szukających dookoła wszelkich możliwych dziwności. W ten sposób, zupełnie jak sądzę przypadkowo, namierzyli mnie i Ti. Nie wiedzą oczywiście wszystkiego, ale kto wie co zdarzy się jutro? Oni nauczyli się myśleć. Niektórzy z nich siedzą właśnie tam z tyłu, podsłuchując nas

telepatycznie, bo i tego się szybko uczą. Filmują nas z ukrycia.

– Wiem.

– Dodatkowo, tych dwóch – tu Warren wskazał na stojących w odległości kilku kroków Ronsona i Castera, – obserwowali was wielokrotnie w latach sześćdziesiątych, a ponieważ potrafią robić użytek ze swoich mózgów, rozgryźli zasadę działania waszego napędu. Zamierzają teraz ogłosić wszem i wobec o swoich wynalazkach i stosować je masowo. W ogóle to wszystko zaczyna się nam coraz mniej podobać. Coraz bardziej tracimy wpływy i stajemy się nieprzydatni. Stoimy teraz tutaj z Ti jak zmokłe psy, przymuszeni do spotkania z tobą szantażami tych gadzin, zwłaszcza tych z tyłu.

– O co im chodzi?

– Tym z tyłu chodzi o poznanie prawdy o Kosmosie, o jego historii, zasadzie funkcjonowania, o życiu, cywilizacjach, o wszystkim. Tym dwóm zaś idzie o możliwie dokładne poznanie konstrukcji twojego pojazdu, jego możliwościach, technologii. Pragną wiedzy.

– A jak nie?

– To wtedy obie grupy zdemaskują nas publicznie, ujawnią powszechnie wszelkie materiały jakie posiadają, spowodują masowe przewartościowania mentalne na skalę globalną. W dodatku część z nich nauczyła się gdzieś używać zapory myślowej, tak, że obaj z Ti niewiele możemy zdziałać.

Zapadło milczenie. Ronson, Caster i Koen przyglądali się pilnie Obcemu. Ti stanął trochę z boku i wydawał się niczym nie zainteresowany.

– A gdybyście ich po prostu zlikwidowali? – Asmo przeszedł na przekaz selektywny, jednak Ronson, Caster i Koen, nauczeni tego przez Długowiecznych, odbierali cały dialog wystarczająco

wyraźnie.

– Nie możemy. Jest ich za dużo i są rozproszeni.

– W takim razie musimy czekać jeszcze pięć lat na Zasadniczą Grupę. Sam nic tu nie poradzę.

– Nie, to za długo. Musimy działać już teraz. Sytuacja rozwija się szybko.

– Ale... jest to sytuacja interesująca. Nawet zaczyna mi się podobać.

– A co na to Lucy, co na to Centrum?

– Rzeczywiście.

– Musimy działać.

– Co proponujesz?

– Cóż. Na razie jesteśmy zmuszeni przyjmować pozornie ich warunki. Będziesz musiał na pewne rzeczy przymknąć oko Asmo. My z Ti i z pozostałymi, będziemy trzymać to jakoś w ryzach, a gdy za kilka lat przybędzie Grupa, załatwimy problem raz na zawsze.

– Dobrze. Daję wam wolną rękę, ale bez przesady. Ti, zrozumiałeś wszystko?

– Doskonale.

– No cóż panowie – Asmo skłonił się wytwornie w stronę Ronsona i Castera. – Przekonaliście mnie. Od tej chwili, Ti oraz War są do waszej dyspozycji. – spojrzał z niepokojem na szarzejące na wschodzie niebo – Teraz niestety muszę do... domu.

Ronson nie wytrzymał, i mimo wielokrotnych ostrzeżeń, zwrócił się pośpiesznie, bezpośrednio do Asmo.

– Gdzie konkretnie, jeśli można?

Obcy spojrział na niego uważnie i Ronson poczuł w głowie coś w rodzaju trzęsienia ziemi i trąby powietrznej jednocześnie. Momentalnie przypomniał sobie całe swoje życie, z wszystkimi, najdrobniejszymi szczegółami. Jak na kolorowym, panoramicznym filmie. Zrobiło mu się gorąco. Chyba na chwilę stracił przytomność, bo nie usłyszał początku odpowiedzi.

– ...yce Jowisza. Jest tam dość przyjemnie, nie ma takiego tłoku jak tutaj. No, ale na mnie już czas.

Spojrział jeszcze przeciągle w kierunku pozostałej, rozłokowanej w oddaleniu części ekipy, po czym odwrócił się spokojnie i wraz ze swoim niesamowitym gorylem odszedł wolno do wiszącego nieopodal pojazdu, który następnie usłużnie, cicho mrucząc, obniżył się, ledwie dotykając spodnią częścią, pokrytej rzadką trawą skały. Obcy wniknęli w swój niezrozumiały sposób do wnętrza i natychmiast też potężne UFO rozbłysło zielonkawym światłem, przybierając ponownie kształt jaskrawo świecącej kuli. Pojazd wisiał kilka sekund na swoim miejscu szumiąc basowo, po czym wystrzelił momentalnie pionowo w górę, nie powodując nawet najmniejszego świstu powietrza, by gdzieś na wysokości dwustu metrów po prostu... zniknąć. Na szczęście Warren chwilę wcześniej wysłał sygnał odblokowujący strefę z zewnątrz. Jej użycie okazało się na szczęście zbędne.

Wszyscy, jak jeden mąż, odetchnęli z ulgą a Warren i Ti zaczęli podskakiwać i tańczyć niczym rozradowane dzieci, w słabym jeszcze, obiecującym już jednak rychły wschód brzasku. Nie spodziewali się tak pomyślnego obrotu sprawy. Pozostali członkowie ekipy, mimo przygnębiającego przeżycia, też mieli wszelkie powody do zadowolenia, zwłaszcza technicy i realizatorzy Harpera. Dysponowali mnóstwem kilometrów taśmy rewelacyjnego zapisu z czterech, rozłokowanych w różnych miejscach płaskowyzu szybkobieżnych kamer. Cały ten materiał musiał być teraz obrobiony i czekać na decyzje kierownictwa Stacji. Również ludzie Hartneta nieźle się obłowili. Poza wojskowym zabezpieczeniem akcji robili swoje – bardziej już techniczne i naukowe zapisy. Obie, rewelacyjne podobno panie

kapitan, aż cmokały z zachwytu nad pobieżnie teraz oglądanymi, taśmami i dyskietskami. Powoli się pakowano. Po godzinie nadleciał ten sam transportowiec i całe towarzystwo, ładując łupy i nie czekając nawet na przepiękny, poranny słoneczny spektakl, odleciało czym prędzej do przeglądania i analizy rzadkich zdobyczy. Akcja „Kontakt” była zakończona.

Jednak Ronson nie cieszył się tak jak pozostali. Był pod wrażeniem bezpardonowego, niezrozumiałego wtargnięcia we własny umysł. Poza tym nie podobał mu się dialog Obcego z Warrenem. Był jakiś sztuczny, nienaturalny jak amatorskie, kiepsko wyreżyserowane przedstawienie, jeśli oczywiście można mówić w tych warunkach o naturalności. Podzielił się swoimi wątpliwościami tylko z Casterem, który początkowo usiłował je zlekceważyć, jednak w trakcie dalszej, wspólnej analizy wydarzeń, poczynając od momentu pamiętnego show telewizyjnego na leśnej polanie, doszedł do wniosku, że rzeczywiście, coś tu jakby nie gra. Postanowili więc być czujni i zabezpieczyć się jakoś na wypadek nieprzewidzianych okoliczności.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: golesz (golesz@wp.pl)

Nadesłano do „Wolnych Mediów”